

CZEŚĆ PIERWSZA

Pierwsza klasa

NIE WIEM WIELU rzeczy. Nie wiem, dlaczego nie usłyszałam cichego trzasku zamykających się drzwi. Dlaczego w ogóle nie zamknęłam tych cholernych drzwi na klucz. Albo dlaczego nie zorientowałam się, że dzieje się coś złego – tak bezlitośnie złego – kiedy poczułam, jak materac ugina się pod jego ciężarem. Dlaczego nie krzyknęłam, kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam, jak wślizguje się pod moją kołdrę. Albo dlaczego nie próbowałam z nim walczyć, kiedy jeszcze miałam szansę.

Nie wiem, jak długo leżę po wszystkim, mówiąc sobie: *Zaciśnij powieki, spróbuj, po prostu spróbuj zapomnieć*. Spróbuj zignorować to wszystko, co wydaje się nie w porządku, wszystko, co sprawia wrażenie, że już nigdy nic nie będzie w porządku. Zignoruj smak w ustach, lepką wilgoć pościeli, ogień rozchodzący się po twoich udach, przyprawiający o mdłości ból – to, co wdarło się w ciebie jak nabój i utknęło we flakach. Nie, nie możesz płakać. Bo nie ma o co. Bo to był tylko sen, zły sen. Koszmar. To nieprawda. Nieprawda. Nieprawda. To właśnie powtarzam sobie w myślach. *NieprawdaNieprawdaNieprawda*. Powtarzaj, powtarzaj, powtarzaj. Jak mantrę. Jak modlitwę.

Nie wiem – jeszcze – że te obrazy przelatujące mi przez głowę jak film o kimś innym w innym miejscu nigdy tak naprawdę nie znikną, nigdy przenigdy się nie zatrzymają, nigdy nie przestaną mnie prześladować. Znowu zamykam oczy, ale wszystko,

co widzę, wszystko, co czuję, wszystko, co słyszę, to jego skóra, ramiona, nogi, zbyt silne ręce, jego oddech na mnie, rozciąganie mięśni, pęknięcia w kościach, łamanie w ciele, ja sama, słabnąca, blaknąca. To wszystko, co jest.

Nie wiem, ile godzin mija, zanim budzę się przy wtórze zwykłego harmidru niedzielnego poranka. Garnki i patelnie brzęczą na kuchence. Zapachy jedzenia sączą się przez szczelinę pod moimi drzwiami – bekon, pankeji, kawa mamy. Telewizor donosi o chłodnych frontach i zjawiskach burzowych, które mają nadejść nad naszą okolicę przed południem – to kanał pogodowy taty. Odgłosy zmywarki. Hałaśliwy pies z naprzeciwka poszczekuje i popiskuje. Tradycyjnie. I jeszcze: prawie niesłyszalny dźwięk rytmicznie odbijającej się od zroszonego asfaltu piłki do koszykówki i szurających po podjeździe stóp w adidasach. Nasze głupie, senne przedmieście budzi się zamroczone i obojętne na własną błahość. Wszyscy pragną kolejnej soboty, niechętnie myśląc o obowiązkach domowych i kościele, i listach rzeczy do zrobienia, i poniedziałkowym ranku. Życie po prostu się toczy, po prostu się dzieje, posuwając się naprzód jak zawsze. Normalka. A ja nie mogę pozbyć się świadomości, że będzie toczyło się dalej bez względu na to, czy obudzę się, czy nie. Nieprzyzwoicie normalne.

W momencie gdy zmuszam się do otwarcia oczu, nie wiem jeszcze, że kłamstwa zostały już wprowadzone w ruch. Próbuje przełknąć ślinę. Boli mnie gardło. Jak przy anginie, mówię sobie. Po prostu się rozchorowałam. Muszę mieć gorączkę. Mam zwidy. Nie myślę jasno. Dotykam ust. Pieką mnie. Czuję smak krwi na języku. Ale nie, to nie mogło się stać. Nieprawda. Więc gdy wpatruję się w sufit, myślę sobie, że coś musi być ze mną bardzo nie tak, jeśli śnią mi się takie rzeczy. Takie okropne rzeczy. O Kevinie. O Kevinie. Bo Kevin jest najlepszym przyjacielem mojego brata, właściwie moim bratem. Moi rodzice go kochają, jak wszyscy, nawet ja, i Kevin nigdy by... Nigdy by

nie mógł. To niemożliwe. Ale wtedy próbuję poruszyć nogami, żeby wstać. Są obolałe. Nie, odnoszę wrażenie, że są połamane. A szczeka mnie boli niczym dwa rzędy zębów pełnych dziur.

Znowu zamykam oczy. Biorę głęboki wdech. Dotykam ręką swojego ciała. Nie mam na sobie bielizny. Siadam zbyt szybko i moje kości jęczą, jakbym była stara. Boję się spojrzeć. Ale wtedy je widzę: moje majtki z nadrukiem – nazwami dni tygodnia – zwinięte w kulkę na podłodze. Te były opisane *wtorek*, mimo że miałam je na sobie w sobotę, no bo – no właśnie, kto by tam miał je oglądać. Tak sobie myślałam, kiedy zakładałam je wczoraj. I teraz wiem na pewno, że to się stało. To się naprawdę stało. I ten ból w samym środku mojego ciała, głęboko w moich trzewiach, wybucha na nowo. Zrzucam z siebie kołdrę. Siniaki w kształcie kolan pokrywają moje ramiona, biodra, uda. I krew. Na pościeli, narzucie, moich nogach.

To przecież miała być zwykła niedziela.

Miałam wstać, ubrać się i usiąść do śniadania z rodziną. Po śniadaniu wróciłabym od razu do swojego pokoju skończyć zadania domowe, których nie zrobiłam w piątek wieczorem. Zadbtałabym o to, żeby szczególnie dużo uwagi poświęcić geometrii. Przećwiczyłabym nową piosenkę, której nauczyliśmy się na próbie orkiestry. Zadzwoiłabym do swojej najlepszej przyjaciółki Mary. Potem może poszłabym ją odwiedzić. Zrobiłabym mnóstwo innych, głupich i nieistotnych, rzeczy.

Ale kiedy siadam na łóżku, wpatrując się w sińce na mojej skórze i przyciskając drżące ręce do ust, wiem, że dzisiaj to się nie wydarzy.

Ktoś puka, dwa razy, do drzwi mojego pokoju. Podskakuję.
– Wstałaś już, Edy? – odzywa się głos mojej matki.

Otwieram usta i wydaje mi się, że ktoś wlał mi do gardła kwas solny, że już nigdy nie wypowiem ani słowa.

Puk, puk, puk.

– Eden, śniadanie!

Szybko obciążam koszulę nocną tak nisko, jak się da, ale na niej też widać plamy krwi.

– Mamo? – odpowiadam w końcu zgrzytliwym, okropnym głosem.

Matka uchyla drzwi. Zagląda do pokoju, a jej wzrok natychmiast pada na krew.

– Boże! – Osłupiała wślizguje się do środka i szybko zamyka za sobą drzwi.

– Mamo, ja... – Ale jak mam wypowiedzieć te słowa, najgorsze słowa, te, które, wiem, że muszą być wypowiedziane?

– Och, Edy – wzdycha mama, spoglądając na mnie ze smutnym uśmiechem. – Wszystko w porządku.

– Co... – zaczynam.

Jak to może być w porządku? W jakim świecie to jest w porządku?

– Tak się czasem dzieje, kiedy się tego nie spodziewasz. – Mama krząta się po pokoju, doprowadzając go do porządku. Prawie nie podnosi na mnie wzroku, kiedy tłumaczy mi okresy, kalendarze i jak mam liczyć dni. – To przydarza się każdemu. Właśnie dlatego ci powiedziałam, żebyś pilnowała terminów. W ten sposób nie będziesz musiała radzić sobie z takimi... niespodziankami. Będziesz... przygotowana.

Myśli, że to właśnie to.

Prawda jest taka, że obejrzałam wystarczająco wiele filmów w telewizji, aby wiedzieć, że trzeba o tym powiedzieć. Że po prostu trzeba, do cholery, o tym powiedzieć.

– Ale...

– Dlaczego nie wskoczysz pod prysznic, kochanie? – przerywa mi. – Zajmę się tym... no wiesz... – Jej dłoń zakreśla koło i wskazuje na łóżko. Mama szuka słów. – Tym bałaganem.

Tym bałaganem. O Boże, teraz albo nigdy. Teraz.

– Mamo... – znowu próbuję.

– Nie wstydź się – mówi matka ze śmiechem. – To nic takiego, naprawdę. Daję słowo. – Kiedy staje nade mną, wydaje się wyższa niż kiedykolwiek wcześniej. Podaje mi szlafrok, nie zauważając moich majtek z wtorkiem zmiętych u jej stóp.

– Mamo, Kevin... – zaczynam, ale jego imię w moich ustach sprawia, że chcę wymiotować.

– Nie martw się, Edy. Wyszedł na zewnątrz z twoim bratem. Grają w koszykówkę. A tata siedzi przyklejony do telewizora jak zawsze. Nikt cię nie zobaczy. No leć. Załóż to.

Kiedy patrzę na nią z dołu, czuję się taka mała. A głos Ke-
vina wiruje jak tornado w mojej głowie, kiedy chłopak szepcze z oddechem na mojej twarzy: *Nikt ci nigdy nie uwierzy. Wiesz o tym. Nikt. Nigdy.*

Wtedy mama potrząsa przede mną szlafrokiem, proponując mi kłamstwo, którego nawet nie musiałam wymyślać. Zaczyna mieć ten wyraz twarzy, ten zniecierpliwiony jest-przerwa-święteczna-a-ja-nie-mam-na-to-czasu wyraz. Najwyraźniej przyszedł czas, żebym już sobie poszła i pozwoliła jej zająć się „tym bałaganem”. I najwyraźniej nikt mnie nie usłyszy. Nikt mnie nie zobaczy. Wiedział o tym. Spędził w tym domu wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, jak sprawy się tutaj mają.

Próbuję wstać tak, aby nie wyglądało jakby wszystko we mnie było złamane. Wkopuję wtorkowe majtki pod łóżko, żeby mama ich nie znalazła i nie zaczęła się zastanawiać nad ich obecnością. Biorę szlafrok. Biorę kłamstwo. I kiedy patrzę przez ramię na mamę i widzę, jak zgarnia w ramiona pościel – do wód – dociera do mnie, że jeśli nie teraz, to prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Ponieważ miał rację, nikt by mi nie uwierzył. Oczywiście, że nie. Nigdy.
